

BEKELIADA

A. Ham



A jeżeli tam są tylko pająki? (*W. Gombrowicz*)

ISBN 83-923500-0-7

Okładka: Janusz Wróbel

Redakcja techniczna i skład
Barbara Kociubińska
Korekta: Daniel Żbikowski

LinkArt. Węgornik 2004. Wydanie I
Nakład 500 egz. Ark. Wyd 27,25. Ark.druk. 54. Papier
druk. Offset kl. III, 80 g., 82 x 104 cm z fabryki papieru
w Koziej Wólce.
Oddano do składania 24. VI. 2004. (wit05autd.doc) Popi-
sano do druku 14. VII 2006.
Druk ukończono w sierpniu 2004 r.
Cena zł 34.

© LinkArt, www.linkart.com.pl, Węgornik 2006

Miał to być hołd złożonym Beckettowi głównie za "Z zarzuczonego dzieła".

Miłosz napisał kiedyś, że "układanie zdań to żmudna robota i jeżeli ktoś już to zrobił za nas, nie ma powodu z tego nie skorzystać". Jeżeli ktoś coś zerżnie od kogoś i stworzy nową jakość to chwała mu, tak jak Harrisonowi za "My sweet lord".

Bekeliada różnie z Becketta nastrój. Ale książki Becketta mają treść i są dowcipne. Bekeliada to grafomańskie brednie. Napuszona, mętna i pretensjonalna – ćwierćinteligent pozuje na intelektualistę. Żenada. Dno.

Zaśmiecanie umysłu – nudy na pudy, bełkot, momentami wulgarne i obrzydliwe, zero finezji, bez sensu.

Odradzam.

I. PAPIEROSY SĄ DOBRE

Nie pomagało już nic. Nie było do kogo zatelefonować i nie miało się pieniędzy. Trzeba było pracować, a nie chciało się pracować. Nic się nie chciało. Nawet książek nie chciało się czytać. Nie było też do kogo napisać listu. Spało się często za dnia. Trochę nazbyt często. W nocy nie chciało się spać. Gdy kończył się program telewizyjny nastawiało się płytę. Nie pomagało. Płytę się znało. Znało się wszystkie płyty, które się miało, więc płyta też nie mogła już pomóc, bo przecież nie pomagało już nic.

Pałiło się papierosy. Miało się sporo czasu. Nie miało się przyjaciół, to znaczy byli jacyś tam przyjaciele, ale nie tacy jakich by się chciało mieć. Zresztą, nic się już nie chciało. Nie było przyjemne. Oj, nie było się zadowolonym! Było niemiło. Niesympatycznie. Humoru nie było. Zwątpiło się w Wittgensteina i Russela. Rilke nie cieszył, również: Céline, Proust, Haszek, Roland, Diderot, Milne, Dostojewski i tak dalej. Też nie. Człowiek zaczynał się powoli godzić z zasadą nieoznaczoności Heisenberga - ba! - nawet akceptował twierdzenie Goedla.

Nic już nie pomagało. Próbowano się uciec w marzenia, ale nic nie można było wymyślić, bo zbyt wiele oszukaństwa i zblazowania.

Chyba tylko solidna emerytura mogła uratować, ale miało się 32 lata. Lenistwo posunęło się do tego stopnia, że już nie chciało się nawet leniuchować.

Było niedobrze. Nie można było powiedzieć o sobie, że jest się ukontentowanym... Ukontentowanie? Wręcz przeciwnie: smutno i źle.

Żadnego pocieszenia. Oprócz papierosów.

II. ABSOLUTNIE

Pogódźmy się. Najlepszy sposób na przebaczenie to zapomnieć o niego-dziwym.

W skupionym oczekiwaniu i z jednym, jedynym celem, który wyznaczył sobie dawno temu: żeby choć raz zobaczyć jak się pierdolą żyrafy, na żywo.

I nic więcej, żadnych książek, żadnych filmów. Spokojnie, w nadziei, że jednak w końcu się ziści.

Nic tylko to marzenie o dwóch żyrafach.

Ostatecznie nie muszą to być koniecznie żyrafy, ani też stosunek płciowy. Może to być całkiem pospolite: na przykład *Pieris brassicae* siadający okrakiem na kwiecie gladiolusa.

Byłe konsekwentnie. Z pełnym wyłączeniem. Żadnych książek, broń boże!

Pogrążony w oczekiwaniu na cud, którego już nie musi się bać. Już niczego nie musi się bać.

Absolutna redukcja marzeń od dwóch żyraf do pospolitego motylka i kwiatka.



III. IM DWÓM

Starszy z nich powiedział krótkie zdanie o „świetle księżyca”. Dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się że chodziło mu o to, aby aktorzy mówili „światłem księżyca”. W kilka miesięcy potem umarł. Parę lat wcześniej ten Młodszy napisał zdanie o słońcu. „I niech droga twoja zawsze będzie ze słońcem”. Coś w tym rodzaju, ale też nie pamiętam.

Ach, ta pamięć! Dzięki niej udaje mi się jakoś trwać. Nie wyobrażam sobie co bym zrobił bez mojej pamięci. Musieliby się mną opiekować. W przeciwnym razie mógłbym wypaść przez okno albo się poparzyć, zresztą co za przyjemność uczyć się za każdym razem takich rzeczy, jak na przykład mycie zębów. Pozbycie się pamięci miałoby jednak też swoje pozytywne strony. Nie dręczyłbym się wspomnieniami tych wszystkich przykrych spraw, które mi się przydarzyły i które sprawiły, że jestem tym kim jestem, a nie tym kim powinienem być.

Tuż przed końcem ten Młodszy rzucił się pod pociąg i musiał później, przez jakiś czas pisać lewą ręką.

Niekiedy podchodząc do rozslonecznionego okna przypominam sobie srebrzysty blask pajęczyny Starszego, zaś patrząc w księżyc pamiętam o Gałazce Jabłoni w słońcu.

Obaj byli cholernie konsekwentni.

IV. TO NIE BYŁA KAMILA

Każdą z nich zaczynam nie cierpieć z chwilą kiedy taka ubzdura sobie, że już się zakochałem. Odnoszą się wtedy do mnie w sposób protekcyjny i ubierają się w mój szlafrok lub w moje flanelowe koszule. Niektóre pozwalają sobie nawet na to, by niefrasobliwy łapskiem rozczochrać mi włosy mówiąc przy tym komplement w rodzaju „mójtynajśłodszygnójku”. Nie lubię tego, ale muszę się uśmiechać. Wtedy traktują mnie jak swoją własność. Kupują mi prezenty: krawaty, ranne pantofle, drogie mydełko, różne przybory do golenia, długopisy, książki lub inne niepotrzebne rzeczy. Zaczynają panoszyć się po moim pokoju w przekonaniu, że bez nich bym zginął. Idiotki. Denerwują mnie.

Muszę kłamać. Nie mogę im przecież wyznać, że o wiele bardziej przeżyłbym ekstrakcję jednego z moich ostatnich 29 zębów, niż gdyby która wpadła pod tramwaj albo utonęła w przełębli.

Dość zabawne jest to, że chociaż każda z nich jest niby inna, to w pewnych sytuacjach powtarzają się. Beznadziejnie.

Obserwuję etapy rozwoju ich miłości do mnie i zauważam - niestety, ach niestety! - że popełniają te same błędy. Przeszkadzają mi w skupieniu. Zapominają o tym do czego mi są naprawdę potrzebne. Że jedyne co w nich pozytywnego, to to, że zaoszczędzają wiele prac ręcznych, jak mawiał Joyce. A ja przecież nie mam zbyt wiele czasu.

Dlatego zawsze, najdalej po paru miesiącach, gdy stają się nieznośne, wyrzucam je.

Jakże był zmęczony tymi wciąż czegoś wymagającymi, nachalnymi i głupimi dupami. Brud, a raczej sama idea brudu, która ściśle wiązała się z tymi wszystkimi nudnymi czynnościami, jaki człowiek musi wykonywać, żeby jakoś tam przeżyć ten na-

stępny dzień, zniechęcała go do jakichkolwiek działań. A jednak żeby zapłacić czymś upływające bez pośpiechu dni przez cały czas, bezwolnie, brnął w różne bagna i bagienka. Bez żadnego planu, bez zasad i bez radości pozwalał im się dotykać. Niezłe. Spełniał prawie wszystkie czynności jakich się po nim spodziewały, a czasami nawet gorliwie wyprzedzał ich zachcianki.

Gdy wydaje mi się, że jest jeszcze daleko, niektóre z nich zaczynają wydawać z siebie różne dźwięki. Jakies pomruki, jęki, sapnięcia, spazmy, westchnienie, kłapnięcia, czy jak to tam inaczej nazwać. Rozśmiesza mnie to, a zarazem budzi niesmak i zażenowanie. Na przykład, niektóre z nich wyją lub wrzeszczą.

Nawet wtedy, gdy jej głowa wykonuje szamoczące się ruchy, podejrzewam, że ona tylko tak udaje. Jestem czujny, cyniczny i skoncentrowany. Uważny i przygotowany na wszystko.

Po chwili jest mi wstyd, więc szybko kończę. Bywa że zbyt szybko. Oczywiście dla nich.

Parę razy tak się zdarzyło, że potem, jeszcze nieco zapłątany w gąszczu zapachów, wilgoci, drzeń, zatraceni, jakichś błysków, szeptów, włosów pachnących morskimi wodorostami, etc., etc., zapomniałem o tym i - można by powiedzieć - gubiłem się w sobie. Na długo, bezgłośnie i bezboleśnie. O, jakże bezboleśnie! Ale nawet wtedy ja byłem na pierwszym miejscu, chociaż może i nie, może właśnie tylko wtedy jednoczyłem się na chwilę z całą resztą, z tymi wszystkimi rzeczami, co na zewnątrz mnie.

Tylko dlatego jeszcze to robię od czasu do czasu, bo parę razy właśnie tak się zdarzyło.

Lecz najczęściej potem jest nieważna nieuwaga lub leniwa refleksja, że wcale to potrzebne nie było.

Brud był bez przerwy przy nim. Zmieszany ze smrodem drugiego człowieka, sprawiający, że wszystko co dobre i piękne zamieniało się w tandetną beznadzieję. Owszem, czasami, gdy robił to na przykład gdzieś w lesie lub na łące, kiedy jeszcze zapach potu nie zdążył zagłuszyć zapachu trawy i kwiatuszków polnych, było wcale miło. Jednak coraz częściej nawet sama przyroda zaczynała mu śmierdzieć. W dodatku prawie zawsze napatoczył się jakiś komar lub mrówka. Albo coś w tym rodzaju i jeszcze gorzej!

To był już szczyt wszystkiego! Wyobraźcie sobie państwo, że bezczelnie zaciągnęła mnie do lasu. Żeby nie okazać nieuprzejmości położyłem się na wznak. Rozebrała się i pośpiesznie rozpięła mi rozporek. Po tym usiadła na mnie plecami do mojej twarzy i zaczęła to robić. Monotonnie skakała przez jakieś 15 minut i wcale jej się to nie nudziło. Wydawała przy tym z siebie jakieś dziwne dźwięki. W miarę upływu czasu coraz głośniejsze. W szczytowym momencie jęczała, jakby ją kto zażywał i wiercą swoim tyłkiem starała się go nabić jak najgłębiej na mego biednego fiuta, a potem nagle westchnęła i położyła się na wznak plecami na moim brzuchu i mojej klatce piersiowej. Zupełnie jak na tapczanie! Przez prawie cały czas miałem zamknięte oczy. Zerkalem tylko od czasu do czasu na jej całkiem niezłą pupę. Kiedy na dobre otworzyłem oczy zobaczyłem nad sobą bardzo ładne niebo. Jak jaki Księżę Bołkoński (tylko to niebo pamiętam z tamtej książki) albo Magritte, co nieźle malował niebo, więc może widział je jak ja wtedy. Ale nie, nic z tego! Nie mogłem sobie dłużej popatrzeć tak jak oni na swoje nieba, bo zachciało jej się całowania i raczej brutalnie niż czule wyegzekwowała na mnie swoją zachciankę. Pocałowałem ją, tylko dlatego, aby jej nie urazić. Wcale nie chciało mi się całować.

*Z tęsknotą pomyślałam o papierosie, a potem użyłam jakiegoś podstępu, żeby zrealizować swój zamiar. Ona też zapaliła. Ga-
dała niezbyt wiele, ale i tak za dużo. W dodatku same bzdury.
Zapinając rozporek z obrzydzeniem skonstatowałam, że moje
włosy na wzgórku łonowym pobrudzone są ociupinką kału. To
był już szczyt wszystkiego! Nie spodziewałam się tego po niej.*

*Postanowiłam wycofać się z tego głupawego romansu bez-
zwłocznie. Natychmiast.*

*Nie miała przecież na imię Kamila, której chciałbym powie-
dzieć dobranoc i dlatego rozpacz.*

V. JUŻ

Włosy całkiem siwe jak gołąb albo bocian, gołębie też nie zawsze. Nie bardzo wiadomo kiedy i dlaczego. Raczej zamknięty w sobie, chociaż czasami się ożywia. Coraz rzadziej. Głównie przy oknie na drogę i rów gdzie trzy liche drzewka, a niekiedy zachód słońca bardziej na prawo, zaś gdy środek lata to jeszcze bardziej na prawo. Zawsze w tę samą stronę, aż do znużenia. W półuśpieniu, otępiały, zapatrzony w wewnętrzne drżenie przeszłości, bo może to już i że niby szkoda.

VI. YOU DON'T LOVE WHAT YOU'VE GOT, UNTIL YOU LOSE IT...

Jak zwykle nieszczęśliwy, zawiedziony, pełen goryczy, szczerzej zawiści i żalu do całego świata. Jak zwykle nieustanne poczucie zagubienia w ślepych, coraz bardziej kurczącym się tunelu-kanale. Coraz bardziej oddalony od ludzi, z których większość to "banda podłych i głupich cwaniaków".

Ogląda reklamy w telewizji. Sni o pięknej, dobrej i mądrej kobiecie. Wydaje mu się, że mógłby ją zdobyć przy pomocy lśniącego auta i forsy, więc oddaje się nierealnym spekulacjom na temat: „jak tu obrabować bank” albo „może by tak napisać (względnie wyreżyserować) wspaniałą książkę (film), za co można dostać nagrodę Nobla (względnie Oscara)?”. Ponoć nie-
zła forsa, a świat bym nazywał miłą zmorą przez kryształ auta pełen blasku... Lecz trudno - może jestem tylko quasi-prorok, nie do komedii, lecz do osamotnienia, do wrzasku.

Brak problemów finansowych oraz piękna, dobra i mądra kobieta – oto jego zachcianki. Nie potrafi się zająć czymś pożytecznym. Co chwila powtarza sobie: „Wszystko mi się rozwa-
liło, wszystko w gruzach, połamane w pizdu!”. Rozczuła się nad sobą. Ma pretensje do świata, że go nie doceniono, że go oszukano, że go wydymano.

Gorączkowo szuka jakiegoś rozwiązania, ale nic mu się nie udaje. Nie ma żadnego przyzwoitego celu. Specjalizuje się w sztuce narzekania i biadolenia. Jest doskonały w udzielaniu innym dobrych rad, a całe jego życie jest do dupy i godne politowania.

Usiadł na chwilę. Poczuł, że za chwilę oszaleje.

Obolałe wargi zaczęły same z siebie szeptać słowa modlitwy-pocieszenia:

„Pięć miliardów. Nikt nawet nie zauważy. Tak samo jak mrówka albo wróbelek”.

Pochylony, a raczej niezdecydowany. Może bardziej niezdecydowany niż pochylony. Znowu śmierć, demencja, narodziny, drugie narodziny, jakaś reminiscencja dawnych namiętności, oszustwo, rozpacz i w końcu rezygnacja po kilku nieudanych próbach.

Sporo jak na 30 lat. Niewiele, jeżeli te 30 lat stanowi połowę życia. Wszystko to w malignie, bezwolnie, jakieś takie rozmełane, że nawet te parę buntów, sprzeciwów, pół zrywów bez wiary i bez żadnej nadziei. Raczej łagodnie.

Wieczna ucieczka w bezładny sen na jawie, w mętne spekulacje na temat życia innych ludzi i zaraz potem znowu strach, a wraz z nim kłamstwo.

Wszystko to niezbyt poważnie, bez żadnej dyscypliny, z auto-dezaprobatą i z dezynwolturą. Raczej wbrew sobie.

Ot kabotyn, co kochać nie umie.

Wszak gdyby nawet mówił językami ludzi i aniołów, a miłości by nie miał, to stanie się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący.

VII. ZAKŁÓCENIA

Budzę się o 2:10. Samopoczucie świetne. Od co najmniej pięciu, a nawet może i dziesięciu lat nie czułem się tak dobrze. Żadnych szmerów w głowie i nos czysty. Nigdy nie miałem kłopotów innych niż z głową i wzrostem. Owszem czasami bolał mnie brzuch albo złamany palec, jakieś oparzenie czy otarcie, etc., ale zawsze było to tylko chwilowe. Inna sprawa z głową i wzrostem. Do jakiegoś 17-go roku życia, wzrost miałem marny, bo niepozorny. Tak, zdaje mi się, że dopiero w 1971 roku przekroczyłem 170 cm. Od tego czasu przestało mi na tym zależeć. A jednak nadal roستم i w najlepszych swoich momentach osiągałem ponad 181 cm, a zawsze utrzymywałem się na poziomie nie mniejszym 179.5 i to nawet wieczorem po tańcach. Oczywiście wolałbym mieć 187 cm. To jest mój ulubiony wzrost.

Nie, nie byłem rozbestwiony. Nigdy nie chciałem mieć więcej niż 192 cm. Rozpatrywałbym zgodę na 192 cm, w przypadku alternatywy wykluczającej „... mniej niż 170”, a zamiast 200 cm wybrałbym chyba nawet poniżej 168, jednak nie mniej niż 162.

Jednak, odkąd przekroczyłem 170 cm nie miało to już dla mnie specjalnego znaczenia. A przecież do tamtego dnia, szczególnie w latach 1960 - 1968, wzrost dawał mi się solidnie we znaki. Wyjątkowo. Wyobraź sobie: 15 lat i 1,47 metra!

Mniej więcej w tym samym czasie kiedy skończyły się kłopoty ze wzrostem zaczęło się na dobre z głową. Często mnie bolała, a najgorsze były szmery i tik-taki, o których chyba nikomu nie mówiłem. Na bóle za to skarżyłem się często i matka orzekła, że mam przewlekłe zapalenie zatok czołowych, którego nabawiłem się wychodząc z pływalni z mokrą głową na mróz. Może to i racja - moja matka była dla mnie

medycznym autorytetem - ale możliwe też, że głównym powodem moich bólów głowy były woda i papierochy.

Szmerów i tik-taków wstydziłem się i właśnie dlatego raczej nikomu o nich nie wspominałem. Wrodzona i pielęgowana przez całe lata, nieprzeciętnie wysoka inteligencja, umożliwiła mi - na przekór wszelkim przeciwnościom – ukończenie studiów, ale nic więcej. Nie mam habilitacji, nie mam nawet doktoratu. Choćby honoris causa, nawet takiego bez żadnego honoru.

Cóż, nie byłem w stanie pracować nad żadnym zagadnieniem dłużej niż 5-15 minut, zaś większość okresów intensywnego myślenia nie przekraczało nawet trzech minut. W oparciu o przeprowadzone przeze mnie w miarę precyzyjne obliczenia można by pokusić się o stwierdzenie, że w całym swoim długim życiu nie myślałem więcej niż 912 godzin. I to w najlepszym wypadku, a zazwyczaj nie były to poważne myśli. 912 godzin to około 38 dób myślenia, a więc z grubsza 3,72-3,76 miesiąca, przy założeniu, że normalny człowiek myśli przez około 8 godzin dziennie i nie trafiliśmy na nieprzestępny luty. Nie ma to jednak wielkiego znaczenia, gdyż zazwyczaj i tak myślałem nie o tym o czym należy myśleć.

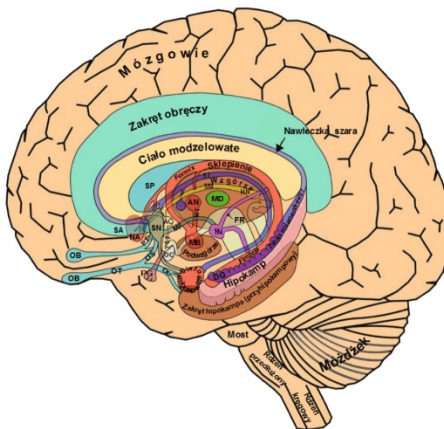
Najgorsze ze wszystkiego były tik-taki. Pojawiały się w najnieodpowiedniejszych momentach. Na przykład idę sobie ulicą lub ścieżką, a tu nagle, w okolicach skroni - zawsze z lewej strony - coś jakby niewielki, oderwany od powierzchni mózgu płatek skóry lub jakaś mała chrząstka, uderza o wewnętrzną powierzchnię czaszki lub w zewnętrzną błonę otaczającą korę mózgową. Nigdy nie mogłem tego dokładnie zlokalizować. Nie było to bolesne, ale mnie denerwowało. Wpadałem w panikę i zwalniałem krok. Żadnych gwałtownych ruchów głową. Po jakimś czasie, od 5 minut do 3 godzin, tik-taki samoistnie mijały.

O szmerach nie będę się rozwodził i tak mam mało czasu. Dla porządku podam tyko, że z grubsza rzecz biorąc, dzieliły się na szumy i trzaski. Głównie trzaski uniemożliwiały mi dłuższą koncentrację.

Będę musiał umieścić w testamencie klauzulę zlecającą im rozkrojenie mi głowy. Niech sobie zobaczą co tam było. Szczególnie ciekawa może okazać się owa lewa półkula w okolicach skroni, chociaż ja osobiście stawiałbym raczej na szyszynkę. Tak z tego co pamiętam to była lewa, gdzie tak stukało.

Szkoda, że nie będę mógł być obecny przy tej trepanacji. Poo-glądałbym sobie. Ostatecznie jestem najbardziej zainteresowaną osobą. Leczą, na boga, nie da się tego w żaden sposób załatwić. Jak już wspomniałem nie mam zbyt wiele czasu.

AC (ang. anterior commissure) – spoidło przednie; AN (ang. anterior nucleus of thalamus) – jądra przednie wzgórza; DG (ang. dentate gyrus) – zakręt zębaty; FR (łac./ang. fasciculus retroflexus) – pęczek tyłozgięty; HN (ang. Habenular nucleus) – jądra uzdeczki; IN (ang. Interpeduncular nucleus) – jądro międzikonarowe; LT (łac./ang. Lamina terminalis) – blaszka krańcowa; MB (ang. Mammillary body) – ciało suteczkowe; MD (ang. Mediodorsal thalamic nucleus) – jądra boczne grzbietowe wzgórza; MF (ang. Medial forebrain bundle) – wiązka środkowa przodomózgowia; MT (ang. Mammillothalamic tract) – droga suteczkowo-wzgórzowa; NA (łac./ang. nucleus accumbens) – jądro połączone; OB (ang. olfactory bulb) – opuszki węchowe; OC (ang. optic chiasm) – skrzyżowanie wzrokowe; OL (ang. olfactory striae lateral) – prążek węchowy boczny; OS (ang. olfactory striae medial) – prążek węchowy przysrodkowy; OT (ang. olfactory tract) – droga węchowa; PG (ang. pituitary gland) – przysadka mózgowa; PT (ang. paraterminal gyrus) – zakręt przykrańcowy; SA (ang. subcallosal area) – pole podspoidłowe; SM (łac./ang. stria medullaris) – prążek rdzeniowy; SN (ang. septal nuclei) – jądra przegrodowe; SP (ang. septum pellucidum) – przegroda przezroczysta; ST (łac./ang. Stria terminalis) – Prążek krańcowy



VIII. NIEZGODA NA PRAWDZIWE NIESZCZĘŚCIE.

To się musiało właśnie tak skończyć. Facet przyłożył sobie do ust lufę starej, rozklekotanej flinty i dużym palcem prawej nogi nacisnął spust. Łeb rozwalił się w drobny mak, jakby na dojrzały arbuz z wysokości co najmniej piątego piętra spadała wielka cegła albo i suporex silikatowy o dużej izolacji termicznej... Suporex? Skąd ja wiem o czymś takim? Cały tył i wierzchołek głowy - normalnie! - przykleił się do ściany za fotelem. Były spore kłopoty z uporządkowaniem tego bałaganu. Dlatego właśnie jestem zwolennikiem eutanazji. Łatwiej sprzątać.

Ja, oczywiście dawno już to przeczuwałem. Nie umiał krzyczeć, w tym cały szkopuł.

No i kiedyś tam znalazłem tę oto kartkę papieru:

Mniemam, że to było największe - przynajmniej jak dotąd - wydarzenie w moim życiu. Nie mam do nich o to żalu, chociaż uważam, że mogli solidniej i zastanowić się nad tym czy będę zadowolony. Powinni byli wziąć pod uwagę możliwość tego, że nie będę szczęśliwy, a szczęście jest ludziom niezbędne do życia.

Ja sam nic wtedy nie znaczyłem, bo mnie jeszcze nie było. Nie mogłem protestować. Mogłem za to zostać unicestwiony w każdej chwili. Tak jak teraz, tyle tylko, że byłoby z tym o wiele mniej kłopotu. Przynajmniej dla nich.

Moja leniwa i wygodna natura sprawiła, że jednak zaakceptowałem na jakiś czas ten fakt i nawet były takie chwile, że szczerze ratowałam się tym lub owym.

W dodatku ich miłość do mnie była naprawdę bardzo przyjemna - przepelniona czułością, troską i oddaniem. Byli kulturalni i inteligentni, a w dodatku radosni i dowcipni.

Nie, nie mam im nic do zarzucenia z wyjątkiem dziedzicznego platfusa, którego winni byli wziąć pod uwagę.

Przewidzieć, ach przewidzieć..., ale czasami się nie da.

IX. PRZED

Koniecznienie późnym wieczorem. Wykąpany. Wymyte dokładnie zęby i pachnący lawendą. W łóżku. Muzyka bardzo cicho. Tuż w zasięgu ręki popielniczka, a obok dziwna herbata, zaparzona jeszcze o poranku z cytryną, z sokiem wiśniowym, a jednak raczej nieco gorzkawa.

Jeżeli już nie można dłużej to kartka papieru i ołówek, łyk herbaty i - bezwzględnie! - głębokie zaciągnięcie papierosem. Bardzo zagubiony, bo tyle szans na ciekawe życie, a z drugiej strony nieuchronność śmierci. Na przykład kilka lub może nawet kilkadziesiąt milionów gatunków owadów, a ilość tego taka, że na każdego człowieka przypada 250 milionów insektów, mimo, iż w ostatnich latach liczba ich dramatycznie zmniejsza się, przez rozbestwienie chemii.

A o prawdziwe słowo trudno. Zegar tyka. Żle. Chociaż tak właściwie to tylko na zewnątrz. Może to tylko noga chudego pająka tak tyka? Robili z nich kiedyś z siostrą zegarki, a potem mieli wyrzuty sumienia.

Potem przytulenie do poduszki i coś z tej czerni bardzo powoli zaczyna się wynurzać. Z tej czerni, gdy już brak muzyki, a bezrobotny ołówek ze złotą skuwką niedbale sobie leży na coraz dalszym dywanie.



X. ROZDYGOTANIE

Może przez to *rozdygotanie* zawsze z papierosem? Jakoś tak niepewnie, bezradnie, zakłopotany uśmiech i brak choćby śladu jakiegokolwiek akceptacji, szczególnie, gdy w lustro - niezamierzona wieloznaczność.

Ale niekiedy jednak pogodnie. Mimo to zawsze z papierosem. Chyba, że pogwizdując, wtedy z papierosem w ustach trochę trudno.

Bez ambicji, bez żadnych ambicji, a to chyba przez ten pierdolony ból głowy, nie głowy, a jednak ból. Kawa, za dużo kawy i koniaku, a gdy zapomni się i przez nieuwagę spojrzy na zegarek, to od razu niesmak, bo dla czego wskazówki zawsze w tę samą stronę.

Czasami chodził na ryby i obserwował korek skaczący na wodzie lub podpatrywał przyrodę względnie gapił się w niebo, ale przez cały czas choćby kątem oka na korek. Można się nabawić rozbieżnego zeza.

Po dwóch, trzech godzinach zniechęcenie i nuda, a zaraz potem coś w rodzaju depresji i długie okresy abulii kończące się nerwowym przemierzaniem pokoju tam i z powrotem. No i znowu: „gofra, loda, alleluja i do przodu”.

Tak było.

Ale dziś, nie licząc się kompletnie ze słowami zaczął mi wymyślać od najgorszych i najgłupszych. Łajał mnie jak burą sukę. Zaplawał się i nieziemsko wrzeszczał, robił wulgarne gesty. Posuwał się do tego, że swoimi brudnymi pazurami próbował mi wydrapać oczy i kilka razy usiłował mnie kopnąć.

Jasna sprawa, że nie było w tym krzty obiektywizmu. Był rozdygotany naprawdę.

XI. NIEPOKÓJ W KAWIARNI

Nie najlepiej. Żle, zimno i ciemno. Skarżę się jak dziecko, ale przecież to nie grzech. My niewinni, więc za co oni nas aż tak pokarali? Nienajlepszego, oj nienajlepszego, wręcz złego wymyślili boga. Karę boską wymyślili. Oj, boga dla łobuzów wymyślili. A gdy przyszedł ten drugi, ten z łopata, taki bardziej swojski, co to umiał wybaczać i miał sporo ze zwykłego, *ludzkiego* człowieka, bo i pomylić się potrafił, to go zamordowali. Nas pewnie też, w taki czy inny sposób, zamordują. Bezwiednie, niechący, przez roztargnienie. Będzie im potem może nawet przykro, kto wie, może nawet nas będą przepraszać. Tylko co nam z tego. Niechlujnie, kostropatymi łapami wcisną nas w ziemię lub rozerwą na strzępy jak prowincjonalnych Orfejów. I za co to? Oto jest pytanie!

Robią mądre miny. A jak ich o coś zapytać to odpowiadają: 9.81 m/s^2 albo $1 + 1 = 2$, albo... etc. A gdy ich dalej zapytasz, że niby czemu nie 9.82 albo 69, to tylko uśmiechają się z wyższością i szufladkują cię żeś jełop. Ale my, przecież doskonale wiemy, że nie o to chodzi, tylko np. o inny odcień niebieskości, którego jeszcze nie znamy. A przecież, żeby dziś przeżyć, ręce wcale nie muszą uśmiercać. Można nimi podlewać kwiaty, wskazać właściwy kierunek zbłąkanemu podróżnikowi, pieścić pierś kobiety lub pisać list, gdy nie ma żadnej pewności, że ona tu przyjdzie, a jest już dwadzieścia trzy po dziesiątej. Ot, symbioza w miejsce drapieżnych systemów. Symbioza to znaczy *ona*.

Nie umiem sobie poradzić ze swoim życiem. Nie potrafię, że tak powiem, zadomowić się w moimi życiu. Za dużo tego wokół, żeby móc coś naprawdę sensownego wybrać. Bez przerwy mam jakieś kłopoty. Często, jak to się mówi, na własne życze-

nie, ale bywały też paskudne obstrukcje, które trudno przypisać do jakiś moich win czy błędów – ot pech się czasami zdarzał. Przeważnie czegoś mi brakowało.

Brakowało mi jej.

Dlatego też sporadycznie pijałem w dużych ilościach alkohol, a papierosy paliłem nałogowo. Można powiedzieć, że byłem jednym z najlepszych palaczy papierosów na świecie. Ponad 60 sztuk dziennie, a w te dni, gdy piłem w dużych ilościach alkohol, potrafiłem wypalić ponad setkę papierosów. Bardzo lubiłem palić papierosy. Uważałem, że to mi dodaje powagi, uroku – właściwy dla mnie genre. Zresztą „Smoking” Resnais’ e, „Do utraty tchu” Godarda – jarali jak kominy...

Ale bywały i takie dni, podczas których nie wypalałem więcej niż 15 papierosów lub niewiele ponad 10, a przez cały 2000 rok nie wypaliłem ani jednego i wcale nie było, aż tak źle. Niektórych eksperymentów nie można przeprowadzać bezkarnie, w tym wypadku 15 kg więcej.

Drugą moją namiętnością były kobiety. Trochę się ich bałem, ale sprawiały mi wiele przyjemności... no ale czasami - nie da się ukryć - też nieznacznych cierpień. Były to jednak zazwyczaj cierpienia dość uszlachetniające.

Uważam za właściwe umieścić alkohol na trzeciej pozycji moich namiętności, chociaż kto wie, czy ze względu na aronię nie należałoby umieścić go na czwartej pozycji. Kto wie, kto wie...

Wracając do cierpień i klęsk, spotykało mnie także wiele różnych nieprzyjemności. Nieszczęścia, tragedie, dramaty i zwykłe przykrości. Szeroka, że tak powiem, gama wszelkiego rodzaju urazów fizycznych i psychicznych. Raz, na przykład, we wczesnym dzieciństwie spadłem z bardzo wysokiego drze-

wa. To tłumaczy niemal wszystko. Ale najbardziej głęboko dokuczyli mi źli ludzie, często przez nieuwagę, więc nie powinienem ich o to winić. Cóż, zdarza się.

Kłęski i upadki nie pozostają bez echa. Owocują w poharatanej psychice, jak w początkach lata właściwie nawożone badyle aronii. Cierpienie niekiedy uszlachetnia, ale zawsze pozostawia jakiś ślad i często w jakiś tam sposób zubaża. Stosunkowo trudno wyrazić w jaki i w jakim stopniu.

...może powinienem pisać na komputerze przy użyciu sprytnego i doskonałego edytora tekstów, który nie tylko poprawia błędy ortograficzne, ale również ulepsza szyk wyrazów, interpunkcję, składnię, a co najważniejsze treść, styl i formę. Wtedy pewnie byłbym lepiej rozumiany. Ale czy rzeczywiście chodzi mi o to, żeby być dobrze rozumiany? Przez kogo chciałbym być zrozumiany? Przez nią.

Wybrałem jednak kartkę papieru, długopis, a raczej pióro wyrwane z kupra jakiegoś ptaszyska, które maczam we własnej krwi. Wszystko to z szacunku dla słowa, bo ono odróżnia nas od pantofelka i sprawia, że jesteśmy pomiędzy pantofelkiem, a bogiem. Co do tego nie mam niemal żadnych wątpliwości, wszak było ono na początku. To właśnie słowo sprawiło, że zdecydowany jestem poddać się zabiegowi lobotomii, dzięki któremu zapadnę w atrakcyjny stupor. Zdaje mi się, że się zagalopowałem i niezbyt prawidłowo zastosowałem niektóre określenia, o które mi chodziło. Nie będę jednak z tego powodu rwał sobie włosów z głowy, ani nie utnę sobie ucha. W końcu nie jestem psychiatrą!

Wracając do lobotomii to jeszcze nie jestem tak całkiem w pełni zdecydowany na poddanie się tej operacji. Nikt nie może mi zagwarantować, że oni właściwie wykonają zabieg

i wytną mi to co trzeba. Jestem przecież poważnym urzędnikiem w szacownym biurze i jakżeby to wyglądało, gdybym zapatrzony w okno, w okno, w okno... W okno? No właśnie, w okno! ...a niteczka śliny ścieka z kącika warg. I kto wtedy za mnie wypisze te wszystkie certyfikaty, metryki, sprawozdania, zaświadczenia, atesty, check listy, potwierdzenia, opinie, inwoicy, ekspertyzy, etc., w sumie ponad setka formularzy! No kto? Poza tym ta ślina w kąciku warg co najmniej obrzydliwa. Nie przystoi.

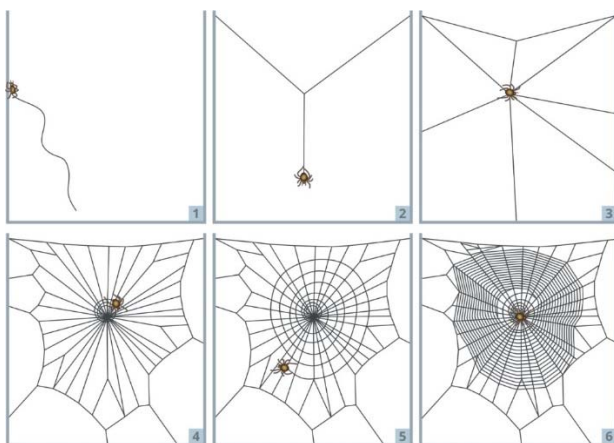
Piję sobie mleko z sokiem z aronii i beznamiętnie dumam o moich niepowodzeniach. Aronia ma dużo wapnia i żelaza oraz wiele mikroelementów (miedź, molibden, mangan i jod). Owoce aronii są najbogatszym ze źródeł witaminy P. Zawierają również takie witaminy jak C, PP, B, i E. Aronia skutecznie pomaga w leczeniu nadciśnienia. To mnie przekonuje, w to wierzę bardziej niż w ... mniejsza o to.

Moja wiedza o owocach aronii imponuje mi i jest źródłem sporej satysfakcji osobistej. Zagwozdka tkwi jednak w tym, że nie jestem pewien czy przypadkiem nie należę do grupy ludzi, którzy mają kłopoty ze zbyt niskim ciśnieniem. W tej sytuacji aronia mogłaby mi wręcz zaszkodzić.

Co za brednie, co za język i jaki z tego pożytek, oprócz sześciu papierosów w popielniczce, a jeden niedogaszony. Kłak jebany, albo jakiś kołek.

Spis treści

I. PAPIEROSY SĄ DOBRE.....	4
II. ABSOLUTNIE	5
III. IM DWÓM	6
IV. TO NIE BYŁA KAMIŁA	7
V. JUŻ	11
VI. YOU DON'T LOVE WHAT YOU'VE GOT, UNTIL YOU LOSE IT...	12
VII. ZAKŁÓCENIA.....	14
VIII. NIEZGODA NA PRAWDZIWE NIESZCZĘŚCIE.	17
IX. PRZED	18
X. ROZDYGOTANIE.....	19
XI. NIEPOKÓJ W KAWIARNI.....	20



INSECTES UTILES



